



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 154

KOWSKI

Józef Piłsudski

Z upoważnienia autora przetoczył
W. R.

WARSZAWA 1920
BIBLIOTEKA „ŻOŁNIERZA POLSKIEGO“

154

leg. 28.

DYMITR MEREŻKOWSKI

Józef Piłsudski

Z upoważnienia autora przełożył
W. R.

KOBOS TADEUSZ

L. _____ / 100.



WARSZAWA 1920
BIBLIOTEKA „ŻOŁNIERZA POLSKIEGO“

Wytłoczono w Zakładach Graficznych „Biblioteki Polskiej” w Bydgoszczy



Chećcie, abym opowiedział swoje wrażenie z wizyty u Naczelnika Państwa. Lękam się, że będzie to rzecz niełatwa. Oto jedna z tych chwil, w których czuję się nieudolnym opowiadaczem, nieudolnym pisarzem. Boć, zresztą, to, co najważniejsze w żywej rozmowie, w słowie wypowiedzianem, zawsze jest niewypowiedziane; rzecz najważniejsza, to — niespodziane uczucie, wzruszenie, uśmiech, wzrok, milczenie, błyskawica, muzyka. A jak odtworzyć błyskawicę, opowiedzieć muzykę?

Co się zaś tyczy przedmiotowej strony mojej rozmowy, być może, doniosłej i płodnej w następstwa, to nie chcę jej poruszać, naprzód dlatego, że zwracałem się do Józefa Piłsudskiego, nie jako działacz polityczny do Naczelnika Państwa, lecz jako człowiek do człowieka.

Wydawało mi się zawsze, że współczesna religja nie czczenia bohaterów, nie korzenia się przed tem, co wielkie, plwania na świętości, nie ulegania władzom ducha, religja dziecięcego, zwierzęcego, niewolniczego buntu jest głównem źródłem współczesnego chamstwa. Moja religja jest przeciwna tamtej. Jej przykazanie głosi: niemasz na ziemi nic godniejszego czci, jak odblask lica Bożego w obliczu człowieczem, w Bohaterze. Bohater wciąż jeszcze, jak ongi, tak samo w dniu dzisiejszym jest niewzruszonym Objawieniem Bóstwa, Teofanją.

Gdy wszedł on do komnaty, „wionęło“ na mnie „wianie cichego wiatru“, o którym mowa jest w Księdze Królestw; odrazu uczułem: tak, to — On, Bohater e n s r e a l i s s i m u m, „był najistotniejszy“, jak wyraził się Nietzsche o Napoleonie.

Poznawałem i nie poznawałem tej postaci, w nieprzeliczonych powtarzanej wizerunkach: nieduża, zwięzła postać Żołnierza i Robotnika, twarz to znużona, prawie stara, to nieśmiertelnie młoda; strome, nawisłe, wypukłe czoło, poradłone głębokimi poprzecznymi zmarszczkami, jak twardy kamień rylcem rzeźbiarza; mocno zaciśnięte wargi „wielkiego milczka“ i pod uparcie nastrzępionemi, jeżącemi się rudo brwiami, dziwnie świetliste oczy, to zamglone, to uprzecroczone, o niewysłowionem wejrzaniu, patrzącem wgląd, jasnowidzącem. Wiedziałem, że postać ta stanie wyrzeźbiona, „trwalej nad spiżę“, dłużej wielkiej rzeźbiarki — Historji.

Zacząłem mówić i nie mogłem. Zdaje się, przyczyną mego wzruszenia była niespodzianka, olśnienie prostotą. Wyobrażałem sobie: będzie podniosłe, uroczyście, — a oto, jak wszystko jest proste.

W pałacu Belwederskim — prosta, cicha komnata; proste, ciche niebo w otwartem oknie, mglistoszare, nad mglisto-zieloną gęstwą Łazienek. I on — cichy, prosty, jak niebo.

Zacząłem rozmowę po francusku. On natychmiast sprowadził na rosyjski.

— Panu dogodniej tak? — spytał z uprzejmym uśmiechem.

Ja! mówić cicho — i ja ucichłem odrazu. Jakbyśmy znali się oddawna. Jakaż między nami bezdeń i jaka bliskość! Przyjaciel. Brat.

*

*

*

O czymże mówiliśmy ze sobą? Nie potrafiłbym w krótkich słowach oddać treści półtoragodzinnej gawędy, a jeślibym potrafił, powtarzam, nie podjąłbym się tego. Spróbuję zaznaczyć jedynie oddzielne punkty, tony owej muzyki, iskry owego ognia. Niespodzianą radością było dla mnie to, że rozumiał on wszystko z półsłówka, chwycił z napomknienia, z rzutu oka, z uśmiechu, z pauzy.

Ludzie współcześni, zda się, giną nietyle z głupoty, z nierozumu, ile z braku wyobraźni, tej współczującej wyobraźni serca, która w serce wszechrzeczy wgląda głębiej, niż najprzenikliwszy umysł. Nie wątpię, że gdyby ludzie, nie ci lub owi, ale poprostu ludzie, mieszkańcy planety ziemi, byli w możności wyobrazić sobie to, co w chwili obecnej dzieje się na szóstej części tej planety, w Rosji, to nie znieśliby tego ani minuty i natychmiast wszyscy popołu runęliby i położyli kres tej niewiarogodnej zgrozie.

Otóż tym właśnie darem serdecznej wyobraźni, darem „intuicji“, „jasnowidztwa“, który Mickiewicz mieni naczelnym darem szczepu słowiańskiego, włada Józef Pilsudski w takim stopniu, jak nikt z polityków obecnej chwili.

— Jestem romantykiem i zarazem realistą — określił on sam siebie najlepiej w rozmowie ze mną.

Kiedym opowiadał mu o zgrozie bolszewickiej, miałem wrażenie, że on wie już wszystko, widzi stąd tak samo, jak ja to widziałem tam.

Do opowiadania mego dodał dwa tylko szczegóły. Anegdotę o mieszczechu berdyczowskim, ocalonym przed bolszewikami, który sprawił sobie nowy krawat: „Wystawcie sobie tylko, wystawcie sobie, wszak od dwóch lat nie nosiłem krawata!“ — omal nie płakał nieborak. I jeszcze opowiadanie o cmentarzach na Ukrainie, o niespo-

dzianie kłószącej się niwie krzyżów nowiutkich po ujściu bolszewików.

— Wszelako i Rosja ma dno. Kiedyś dojdą do dna; zawalą się...

— Lękaj się dna rosyjskiego, panie Marszałku: jest to dno bezdeni, a bezdeń wciąga. Lękaj się dna rosyjskiego przez pamięć na Polskę i przez pamięć na Europę.

On zamilkł znowu, i zrozumiałem, że widzi on dno tak samo, jak ja.

Rozmowa zesłała na tory restauracyjnych, pogromowych tyłów Kołczaka, Judenicza, Denikina.

— Z restauracją Rosji nie może Polska mieć żadnej łączności. Raczej wszystko, niż to. Raczej bolszewizm! — wykrzyknął z groźnym gniewem, i oczy jego się zaśkrzyły.

Mówił z przerażającą siłą. Uczulem, że tu jest mocno, że tu jest opoka. Ucieszyłem się; ale w jaki sposób go przekonać, w jaki sposób upewnić, że nie ja sam się cieszę, że nie ja sam czuję tak właśnie, jak on, że tak samo czuje cała Rosja?

— Cóż mamy począć, my Polacy i wogóle europejczycy? — ciągnął on spokojniej. — Niepodobna żądać od ludzi genialności; większość, to — ludzie średniej miary, zdrowego rozsądku; na nich opiera się wszelka polityka. Ci wierzą w to, co widzą, widzą zaś dwie tylko Rosje — starą, czarną, i nową, bolszewicką. Trzeba było dokonać wyboru między temi dwiema Rosjami, ponieważ trzeciej niema...

— Jest.

— Gdzież jest, gdzie? Wszak my jej pragniemy i szukamy. Wskaż pan, gdzie ona istnieje?

Cóż miałem odrzec, na co wskazać? Na rosyjski Paryż, Londyn, Berlin? Kogo wymienić? Milukowa, Maklakowa, Sazonowa, Kiereńskiego?

Przypomniałem „kłoszącą się niwę nowiutkich krzyżów“ i odpowiedziałem.

— Trzecia Rosja jest nie tutaj, ale tam, w Rosji.

— Pan wie o tem? Pan wierzy?

— Wierzę.

Ogarnął mnie strach: cóż będzie, gdy on pokiwa głową i powie cicho i poprostu: „A ja nie wierzę“. Lecz on odwrócił się w milczeniu i popatrzył przez okno otwarte prostemi, cichemi oczami na proste, ciche niebo. Odechnąłem swobodniej: niechaj tymczasem nie wierzy — może uwierzyć.

Tu zaczęła się główna część rozmowy — o tem, co uczynić trzeba dla „trzeciej Rosji“. Powtarzać tego nie będę, powiem jedno: cobykolwiek o nim mówiono, Józef Piłsudski nie jest wrogiem Rosji. Nie ma kamienia w zanadru. Mówię to dla wszystkich, dla mnie zaś jest on czemś większem, niż to, co o nim mówią teraz. Chociażby czterdzieści tysięcy Minorów, Zenzinowów, Kiereńskich upewniało mnie, że w rozmowie tej „zaprzedałem Rosję“, nie uwierzę im.

— Nie wiem, kto komu jest teraz potrzebniejszy: wy nam, czy my wam — zawolałem w uniesieniu rozmowy.

Teraz, z oddali rozumiem, że mogło się to wydać niemal zuchwalstwem: tak jesteśmy słabi, tak „nie istniejemy“, wedle tego, co się widzi. Ale wtenczas nie było to zuchwalstwo, tylko szczerłość. I zda się, zrozumiał on, że poza tem co się widzi, jest coś innego, większego.

Rozpytywał wiele o generała Brusilowa i o nowego „patriotycznego“ ducha armji czerwonej. I znowu pojął to, co, tak trudno, prawie niepodobna pojąć komukolwiek, kto nie jest Rosjaninem: pojął tę najniedorzeczniejszą z niedorzeczności rosyjskich — „narodową“ Międzynarodówkę, rosyjskich żołnierzy-komunistów, bohaterów „gnu-

śnego“ pokoju Brzeskiego, idących ginąć pod sztandarami Bronstejna-Trockiego za „Świątą Rusz“. Pojął on, że i to jest możliwe „w kraju bezgranicznych możliwości“. Rzeczowe ostrze rozmowy zmierzało właśnie ku temu, jak odeprzeć to niebezpieczeństwo, być może, dla Polski i dla Rosji największe. Ze tutaj już Rosja i Polska stają razem, zrozumiał on także.

Wymieniłem Borysa Sawinkowa, jako jedyne go dzisiaj w Europie Rosjanina, zdolnego przedsięwziąć coś dla „trzeciej“ Rosji. Trudno mi było mówić o Sawinkowie: jest to mój przyjaciel wieloletni, człowiek dla mnie zbyt bliski. Lecz zaledwie począłem mówić, gdym uczuł, że towarzysz rozmowy myśli o nim prawie tak samo, jak ja.

* * *

Ot, zda się, wszystko, co mogę powiedzieć o rzeczowej części rozmowy. Zdaję sobie sprawę z tego, jak od tych przemilczeń błędna moje wrażenia i odbita w nich postać. Mam wszakże nadzieję, że kiedyś jeszcze wrócę do niej: zapomnieć jej niepodobna, stoi ona w mojej pamięci, w sercu mojem niezatarta na wieki.

Jeszcze jeden ostatni rys: bez niego obraz byłby nazbyt niepełny.

Mówiąc z powodu Sawinkowa o znaczeniu samotnej jednostki twórczej w dziejach narodu, powołałam się na niego samego, Józefa Piłsudskiego.

— Ty, Marszałku, stworzyłeś Polskę; ty mógłbyś powiedzieć: Polska — to ja.

— Tak pan sądzi? — uśmiechnął się gorzkim uśmiechem. — A wiesz pan, że przychodzą chwile, kiedy zdaje mi się, że ja wciąż jeszcze zmagam się z Polską, że walczę przeciw Polsce. Jestem człowiekiem dość mocnym, ale niekiedy i ja słabnę.

Nagle znów, jak w pierwszej chwili spotkania, „wionęło“ na mnie „powianie cichego wiatru“. Tylko, że teraz, gdy mówił o swej słabości, uczulem, jak dalece jest mocny nie swoją mocą: „W niemocy siła moja się dopełnia“. Teraz dopiero uczulem, że przedemną stoi wybraniec Boży.

Tak, mówię to wszystkim tak, jak jemu powiedziałem. O, wiem jak trudno i okropnie powiedzieć taką rzecz o człowieku, zwłaszcza w naszych czasach, gdy za „wielkich ludzi“, za „wybrańców“ — czyich? — uchodzą Leninowie i Troccy! Wiem, ile węgla żarzących ściągnę na swą głowę, ile drwin ze swej dziecięcej naiwności, ale, pomimo wszystko, powiem: Leninowie, Troccy — to nie są wielcy ludzie, to wielkie nicestwa.

Człowiek jest miarą rzeczy. A co bywa miarą człowieka? Jeżeli nie Bóg, to — djabeł. Naśladowanie Boga — to twórczość; burzenie — to naśladownictwo diabła. O Bogu zapomnieliśmy już dawno, i mierzymy człowieka miarą diabła. Wedle tej miary wielki jest komedjant na tronie, podpalający Rzym; wielki jest Dżengis-Chan, czy to ze swoją hordą dziką, czy z „telegrafem“ i „telefonem“; wielki jest pijany marynarz, wysadzający ogarkiem papierosa magazyn prochowy. Lecz wedle miary Bożej, są to same nicestwa; wedle miary Bożej unicestwić słońce jest mniejszą rzeczą, niż stworzyć atom; zburzyć świat jest mniejszem dziełem, niż wypielegnować roślinę. Zapomnieliśmy o Bogu i przestaliśmy czcić bohaterów, te objawienia bóstwa w ludzkości, „byty najistotniejsze“ — oto, dlaczego pokłoniliśmy się tym dwu wielkim nicestwom, Trockiemu i Leninowi — wielkiemu Szelmie i wielkiemu Kastratowi.

Oto kaźń nasza, nasz wstyd — wstyd całej Europy, wszystkiego chrześcijańskiego świata.

Lecz, jeśli nawet wszystek świat odda pokłon djabłu, uwielbi królestwo Bestji: „kto jest podobien Bestji tej i kto może stoczyć z nią bój?“ — to nigdy on, nigdy Józef Pilsudski. Od hańby tej wybawi on Polskę, i — być może — wybawi świat. Oto ku czemu wybrany jest od Boga.

* * *

Wychodząc od niego, chciałem zwrócić się do Polaków z takimi słowy:

— Jakże jesteście szczęśliwi! Jak powinny wam zazdrościć wszystkie inne narody! Jakże Polskę umiłował Bóg, córę swoją przejasną, cierniem wieńczoną, na krzyżu rozpiętą, że w takich latach zesłał jej takiego Wodza!

Jestem pośród was cudzoziemcem, ale nie jestem obcy, i powiadam wam: kochajcie go. Wiem, że wy go kochacie. Ale jeszcze więcej go kochajcie. O, niechaj nigdy nie powtarzają się takie chwile, kiedy mówił: „Ja słabnę, ja walczę przeciw Polsce“. Pamiętajcie: możecie wszystko utracić i znowu odnaleźć — chleb, złoto, oręż, obszary ziem, przystanie morskie, skarby sztuk pięknych, nauk i nawet nową sławę, ale nie drugiego Józefa Pilsudskiego. Utraciwszy jego, straciecie wszystko i już nie odnajdziecie. Nie spierajcie się o to, kto jest większy, wy wszyscy czy on jeden. Alboż wy wiecie, kto kogo stworzył, wy — jego, czy on — was? Wy wszyscy wznosicie go, jak fala wznosi płynącego; on zaś dźwiga was, jak przygarbiona karjatyda dźwiga ogromny gmach.

Okropne, czarne dni nadchodzą i już nadeszły. Czyli to nie czarność ostatecznej zgrozy, hańby ostatecznej, że przywódca wielkiego narodu, swój i cudzy honor zaprzędając, targuje się z nikczemnym djabłem, jak rozbójnik z rozbójnikiem, nad ofiarą mordu, jak stręczyciel z rajfurem, nad garścią złota.

Dzień dzisiejszy jest czarny, okropny, a jutro będzie jeszcze okropniejsze, czarniejsze. Oto ciągną na was, na całą Europę nieprzeliczone hufy barbarzyńców; ciągnie coś podobnego królestwu Antychrysta. Nie myślcie, że mówię wam puste wyrazy, straszę dziecinnymi baśniami: tak myśleć mogą inne narody, ale nie wy, Polacy. Mówię do was to samo, co mówili wasi prorocy — trzy ogniste A, nakreślone w mroku palcem Bożym dla waszego zbawienia: August Cieszkowski, Andrzej Towiański, Adam Mickiewicz. W te czarne dni nie zapominajcie o swoich prorokach. Mówię wam to samo, co mówili oni: nie myślcie, że Polska, jak Chrystus, zmartwychwstała i już nie umrze. Chrystus jest w Polsce, ale Polska nie jest Chrystusem. Dla ludzi i dla narodów krzyżowa droga na ziemi się nie kończy: od krzyża męki do zmartwychwstania i do nowej śmierci na krzyżu, aż tajemnica Boża się dopełni nie tylko w każdym narodzie, ale i w całej ludzkości.

Tak, nie są to puste wyrazy, co wam mówię wespół z waszymi prorokami: ciągnie na cały świat chrześcijański coś podobnego królestwu Antychrysta. Ostatnią przeciwnemu ostoją jest Polska; ostatnia bitwa stoczona z nim będzie tutaj.

Stańcież więc wszyscy, jak jeden mąż, w tej bitwie wokół swego wielkiego wodza, wybrańca Bożego, Józefa Piłsudskiego. Zjednoczcie swoje serca, jak miecze, i podnieście go na taką wyżynę, aby wszystkie narody go widziały, jak wy go widzicie, poznały go, jak wy go znacie.

Jeśli uczynicie to, to uratujecie Polskę i — być może — uratujecie świat.



